

Dwa liberalizmy

28 lipca 2008

W polskim dyskursie politycznym popularne stało się rozróżnianie „liberalizmu gospodarczego” od „liberalizmu obyczajowego”. Jest to modne zwłaszcza po prawej stronie sceny politycznej. Wielu ludzi określających się jako konserwatywni liberałowie, konserwatyści czy po prostu prawicowcy uważa się za zwolenników „liberalizmu gospodarczego”, odżegnując się jednocześnie od „liberalizmu obyczajowego”. Ten ostatni nie jest jednoznacznie zdefiniowany, ale przyjrząwszy się różnym wypowiedziom na ten temat można wysnuć wniosek, że pod to pojęcie podpada m. in. (oprócz standardowo przytaczanych przykładów popierania aborcji, eutanazji i małżeństw homoseksualnych) opowiadanie się przeciwko zakazywaniu takich zjawisk jak zażywanie i dystrybucja narkotyków, imprezy w rodzaju „Przystanku Woodstock”, prostytutka i czerpanie z niej korzyści materialnych, rozpowszechnianie pornografii i ogólnie „publiczne zachowania sprzeczne z wartościami konserwatywnymi”, jak to sformułował jeden z dyskutantów na portalu prawica.net.

Łatwo jednak zauważyć, że zakres pojęcia „liberalizm obyczajowy” pokrywa się w dużej mierze z zakresem pojęcia „liberalizm gospodarczy”. Jeżeli zakaze się organizowania imprez takich jak „Przystanek Woodstock”, to będzie to niewątpliwe ograniczenie wolności gospodarczej. Jeżeli zakaze się rozpowszechniania pornografii, podobnie – ktoś, kto będzie chciał zarabiać na filmach, magazynach czy stronach porno, nie będzie mógł tego legalnie robić. Podobnym ograniczeniem jest zapis o tym, że programy radiowe i telewizyjne muszą być zgodne z „wartościami chrześcijańskimi”. Zakaz prowadzenia oficjalnych domów publicznych czy policyjne akcje nękania prostytutek też są naruszeniem wolności gospodarczej. Tak samo zakaz handlu narkotykami innymi niż alkohol i nikotyna czy związane z nim zakazy uprawy bez zezwolenia maku lub konopi.

Wreszcie, w oczywisty sposób wolność gospodarczą narusza ściganie reklam uznanych za pornograficzne czy „obrażające uczucia religijne”, jak również „obraźliwych” wypowiedzi prasowych czy książek. Jeżeli w ramach walki z „liberalizmem obyczajowym” zakazemy wydawania gazety programowo drwiącej z „wartości konserwatywnych”, to będzie to ewidentne ograniczenie wolności gospodarczej jej wydawcy oraz ludzi, którzy tę gazetę chcieliby kupować...

Ci z samozwańczych zwolenników „liberalizmu gospodarczego”, którzy chcieliby, w imię walki z „liberalizmem obyczajowym” zakazywać wymienionych rzeczy są w rzeczywistości zwolennikami czegoś, co można nazwać „umiarkowanym liberalizmem gospodarczym w granicach konserwatyzmu obyczajowego”. Czyli – wolność gospodarcza tak, ale tylko dopóki nie narusza konserwatywnego stylu życia. Chłop może uprawiać ziemniaki, ale konopi indyjskich już nie. Sklepikarz może sprzedawać alkohol, ale już nie marihuanę. Promotor muzyczny może organizować koncert disco-poło, ale nie coś w rodzaju „Przystanku Woodstock”, ani koncertu blackmetalowego, gdzie do krzyży przywiązuje się umazanych sztuczną krwią ludzi. Wydawca gazety może ją wydawać, pod warunkiem, że nie będzie tam symbolu sierpa skrzyżowanego z katolickim krzyżem, lub że nie będzie to coś w rodzaju „Hustlera”. Właściciel telewizji może emitować, co chce, pod warunkiem, że będzie to zgodne z „wartościami chrześcijańskimi”. Producent napoju może się reklamować, pod warunkiem, że nie będzie to reklama „obrażająca uczucia religijne”...

Tylko, że to już nie jest liberalizm gospodarczy. To etatyzm, gdzie różne państwowe instytucje i prawa decydują, że mogą sobie wprowadzić kupić to, co z grubsza chcą, ale tylko w kolorze czarnym... czy jaki tam jest kolor konserwatystów.

A gdy takie instytucje i prawa istnieją, to już tylko krok do wykorzystywania ich także przez „postępowców”. Do zakazywania pisemek z dowcipami o Murzynach, „seksistowskich” reklam, symboli religijnych w prywatnych szkołach, palenia tytoniu w

prywatnych barach i firmach. Do „umiarkowanego liberalizmu gospodarczego w ramach progresywizmu obyczajowego”.

Co najgorsze, takie praktyki powodują, że w świadomości zarówno tej bardziej konserwatywnej, jak i tej bardziej postępowej części społeczeństwa wykształca się przekonanie, że jedynym strażnikiem „właściwej” obyczajowości, chroniącym przed demoralizującymi ekscesami rynku jest państwo. Utrwała się etatystyczny etos, taki sam, który według niemieckiego teoretyka libertarianizmu Stefana Blankertza stał się jedną z przyczyn narodowego socjalizmu w Niemczech w latach trzydziestych XX w. Zdaniem Blankertza może się mu przeciwstawić tylko rzeczywisty liberalizm, nieokrojony do kwestii ściśle ekonomicznych. Jak napisał on w swoim artykule „Ku wolnościowej teorii faszyzmu”, „oddzielenie wolności gospodarczej od swobód obywatelskich wywołuje wrażenie, że liberalizm nie ma nic wspólnego z codziennym i uczuciowym życiem wspólnoty. (...) Rzekoma ochrona praw własności w kraju, gdzie Żydzi, homoseksualiści, nonkonformiści i wszyscy krytycy rządu są nękani, więzieni i mordowani, jest nic nie warta. Prawa własności nie oparte na fundamentalnej zasadzie samoposiadania, to jest samostanowienia jednostki, nie mogą być uznawane za rzeczywiste prawa własności”.

Oczywiście w Polsce jak dotąd nie morduje się i nie więzi opozycjonistów, Żydów czy homoseksualistów, i coś takiego w przewidywalnej przyszłości nie grozi. Ale można trafić za kratki choćby za posiadanie marihuany, a za „obrazę uczuć religijnych” dostać wyrok w zawieszeniu lub grzywnę. Nie ma nazizmu ani faszyzmu, ale jest etatyzm, który za jakiś czas, przy okazji jakiegoś drastycznego kryzysu welfare state może – przed czym przestrzega Blankertz – przekształcić się w coś podobnego do faszyzmu czy narodowego socjalizmu. A samozwańczy liberałowie gospodarczy, przedkładający ponad ten liberalizm wymuszanie konserwatywnego stylu życia siłą przez państwo, mogą się do tego niechcący przyczynić.

Autor: Jacek Sierpiński

Źródło: sierp.libertarianizm.pl